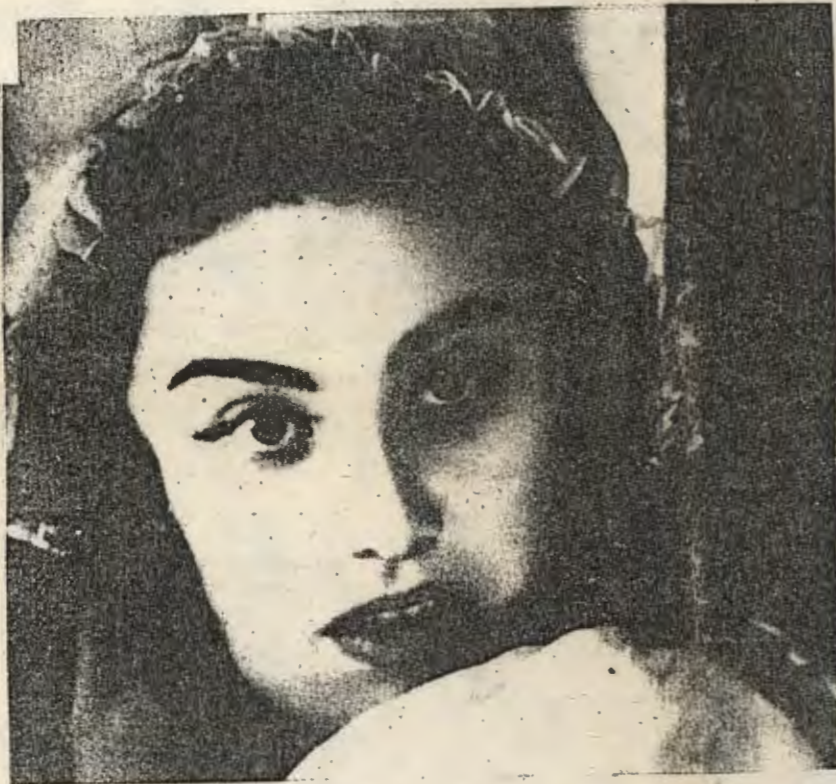


Po Modrzejewskiej sztylet krwawy przejęła IRENA EICHLERÓWNA NIE ŻYJE

(Inf.wł.) 18 września przed południem w kościele św.Karola Boromeusza na Powązkach odbył się pogrzeb Ireny Eichlerówny. Nabożeństwo odprawił i homilię wygłosił ksiądz Kazimierz Orzechowski, kapelan środowiska teatralnego. Przybyła minister Izabella Cywińska, która nad otwartą mogiłą powiedziała, że na miesiąc przed śmiercią Irena Eichlerówna przyjęła angaż do rekonstruowanego od nowa Teatru Narodowego. Jej obecność w tym zespole mogła mieć znaczenie symboliczne; Jej odejście przerywa artystyczną ciągłość pierwszej narodowej sceny. W imieniu Związku Artystów Scen Polskich żegnał artystkę Andrzej Łapicki. Pogrzeb, zdarzenie z natury rzeczy smutne, tym razem był smutny szczególnie: pokazał wyraźnie w jakim zapomnieniu żyła przez lata wielka Eichlerówna. W ostatniej drodze towarzyszyli Jej niemal wyłącznie dawni współpracownicy. Publiczność, często tak niewdzięczna wobec prawdziwych wielkości, opuściła największą aktorkę polską od czasów Modrzejewskiej.(M.N.) O Eichlerównie czytaj na str. 4-6.



Katarzyna w „Madame Sans Gene” (1939)



Maria Stuart w tragedii Schillera (1955)



Agrypina w „Brytaniku” (1963)

Po Modrzejewskiej sztylet krwawy rdzewiejący

w rekwizytorni przejęła

Adolf Rudnicki:

Wybrana

Przeciwstawić aniołowi śmierci, który już wyciąga palec w kierunku następnej zdobyczy, przymiotniki wielka, niezastąpiona, jedyna – wydaje się zabawą, ludzką zabawą, sztuką w cudzysłowie.

Ale na co nas stać innego?

Za chwilę ktoś inny odejście – trwać będzie nadal tupet młodych, czyli życie, prawdziwe życie.

Na swój sposób ratują nas ci młodzi właśnie, ich tupet, wrzask, ślepotą.

W mojej przygodzie teatralnej natrafiałem w latach pięćdziesiątych na Eichlerównę. I ja oddałem Jej hold.

Dzisiaj mógłbym jedynie powtórzyć to, co wtedy napisałem, tylko powtórzyć.

Starzejący się mistrz lekkoatletyczny wie co trzeba, ale do realizacji trzeba mu młodego biegacza, który nic nie wie, a może wszystko.

Latami moja znajomość z aktorką toczyła się na odległość.

Na ulicy widywałem, bywało, starą samotną kobietę, źle ubraną, jak wszystkie te kobiety źle akomodujące się, źle znoszące kariat dnia powszedniego.

Teraz wszyscy jesteśmy dłużnikami Augusta Grodzickiego. Napisał piękną książkę, jeszcze zdążył. Aktorka dotknęła jej własnymi rękami, może na chwilę poczuła się wybrana.

Bohdan Korzeniewski:

Jej talent

Na mój stosunek do aktorstwa Ireny Eichlerówny składały się dwa uczucia, również silne. Pierwszym był szczerzy i głęboki podziw dla Jej niezwykłego talentu, a drugim prawdziwe współczucie dla wymagań, jakie ten niezwykle talent Jej stawiał. Demon Jej talentu był tak wymagający, że aż okrutny. Przypuszczam, że nigdy nie doświadczała zadowolenia z siebie. Nawet gdy robiła w swoim aktorstwie rzeczy niezwykle i sprzeciwiające się przyjętym na ogół sądom, to Jej okrutny talent domagał się znacznie więcej. To nie Ona sama była tak trudną dla współpracujących z Nią

aktorów i reżyserów. Pośadzanie Jej o pychę było niesłuszne. Nie była pyszna. Była męczennicą swego niezwykle talentu aktorskiego. I dlatego była aż do końca swoich dni głęboko samotna.

Zbigniew Raszewski:

Z Raptularza – u Eichlerówny

25 II 1965. U Eichlerówny. Odolańska 20 m I. Tel. 45-47-82.

Ogólne wrażenie: spora kultura, bujny temperament, duma, skrytość. Chwilami mówi bardzo szczerze (zawsze była bardzo odważna), to znów zdaje się, że gra, aby zmylić rozmówcę.

Zapytana o budowanie roli kategorięcznie twierdzi, że zaczyna od analizy sztuki. (Po co autor napisał tę sztukę?) Następnie analizuje rolę. Gdy się z tym upora, może grać, „choćby następnego dnia”. Nigdy nie zaczyna od szczegółu. Gardzi takim szukaniem po omacku. Zapytana, czy opracowuje partyturę głosową roli, niemal z gniewem temu zaprzecza. Na uwagę, że w *Fedrze* każdego wieczoru zaczynała z tego samego tonu, szorstko odpowiada, że gdy miała chrypkę, zaczynała niżej. (Bo wtedy oszczędza się górę.). „To był po prostu ton znużonej, znękaney kobiety”.

O pracy z reżyserami, bodaj z Horzycą (którego pamięć bardzo szanuje) nie chce mówić. Uważa Horzycę za inscenizatora (niewyżytego poeetę, malarza; muzyka?). Twierdzi, że Horzycę zawsze pozwalał jej robić na scenie, co tylko chciała.

Niezupełnie to, ściśle. Byłem na próbie generalnej *Fedry* w Poznaniu. Horzycy mówił mi, że pracował nad przedstawieniem klasycystycznym, do czego wdrożył cały zespół. Eichlerówna nie podporządkowała się temu stylowi, co Horzycę z początku przerażało i rozgniewało. Później pogodził się z jej indywidualnym stylem i na próbie był już dobrej myśli; twierdził, że mimo jego woli zapowiada się ciekawe przedstawienie. Przepowiednia sprawdziła się. *Fedra* miała powodzenie. W liście do Puzyny Horzycy usprawiedliwił się jednak z obecności dwóch stylów.

W pewnym momencie Eichlerównie wymyka się wyznaczenie: pomysł deklamacji na leżąco podsunął jej Horzycy.

Sprawa *Zanety* w *Wilkach w nocy*. Eichlerówna była wówczas w szpitalu. Była ranna, po wypadku samochodowym, miała obie nogi w gipsie. Grała z nogami w gipsie (tak twierdzi), wdzięczna Horzycy

za to, że wyrwał ją ze szpitala i z depresji.

Drobiazg: przezroczysty płaszcz przeciwdeszczowych, w rodzaju tego, jaki ma na zdjęciu w *Wiadomościach Literackich*, jeszcze wtedy nie było. Sama sobie wymyśliła taki płaszcz.

Z Wysocką, reżyserką, bardzo się kłóciła. Wysocka inaczej pojmowała tę rolę. W pierwszym spotkaniu z Prokuratorem próbowała narzucić Eichlerównie szczegółowe zastosowanie gestu, które Eichlerówna odrzuciła. Jakie, nie chce powiedzieć. „Ale miała rację” – dodaje nieoczekiwanie. „Ktoregoś dnia w Rio nagle uprzytomniłam sobie, że miała rację”.

Zaneta, zdaje mi się, ugrontowała sławę Eichlerówny w Warszawie. Po wojnie wielkie wrażenie sprawiła *Fedra* w Poznaniu. *Fedra* zapoczątkowała jej nowy styl. Ale potem już chyba roli tej klasy nie miała. (Widziałem *Pannę Rositę, Karocę*.) U Axera podobno bardzo grymasiła i odrzuciła wiele ról. Hanka budziła mieszane uczucia trafnie opisane przez Puzynę. Podobno wtedy kochała się nieszczęśliwie w Sheybulu. Od tej pory żyje bardzo samotnie. Przyjaźni się chyba tylko z p. Pronaszkową (z którą zresztą ciągle się kłóci i znowu godzi).

Tkwí w niej chyba kawał reżysera. Ma w domu scenę, na której drobniogowo opracowuje całą rolę. Podobno swoją rolę w *Wiśniowym sadzie* oddała dlatego, że dekoracje wypadły w końcu inaczej, niż zapowiadał scenograf, a ona miała już wszystkie sytuacje opracowane w domu. W rozmowie ze mną pasjonuje się sztuką, którą próbuje. Najwięcej mówi o roli Lipińskiej. Uważa, że Lipińska, która gra osobę niernormalną (nie poznaje swego kochanka), powinna grać zwyczajnie nasuwając widzowi tylko pewne wątpliwości co do stanu umysłowego postaci. Wówczas wytorzyłyby się napięcie na widowni. Lomnicki, reżyser, nie może się na to zdecydować, co Eichlerównę gryzie. Nb. odegrała przede mną scenę spotkania mówiąc tonem niesłuchanie obojętnym: „Ty? Nie. Nie, nie znam ciebie”.

Zdaje się, że wiele ról, pomysłanych zupełnie inaczej, zwicznęła jej temperament. Maria Stuart wydała mi się niemożliwa, choć można się było domyślić, na co Eichlerównę w tej roli stać.

Wzrostu mniej więcej mojego, jest już dziś dosyć tęga, twarz pełchna. Fascynujące oczy, zielonkawe (lubi spoglądać spode łba) i brwi, niemal zbiegające się nad

nosem. Głos bardzo duży, niezwykle dźwięczny, niski, alt, o znacznej rozpiętości. Tendencja do łamania intonacji zdaniowej nawet w rozmowie!

Jan Kott:

Wielka i krucha

Aktorzy są jak duchy i jak cienie. Duchy i cienie to określenie Shakespeare'a. Cienie w pieczęrze Platona są odblaskiem bytów i istnień prawdziwych.

Kiedy umiera człowiek, razem z nim odchodzi jego cień. Ale u wielkich aktorów, naprawdę wielkich, cienie nie odchodzą. Zostają po nich cienie. Tym cieniem jest pamięć, czasem krucha jak cień, czasem trwała jak pamięć ludzka. U naprawdę wielkich aktorów i aktorek cień ma ciało i głos. Największą aktorką mojej generacji była Lena Eichler. Mam ją przed oczami i słyszę jej głos, jak wszyscy widzowie mego pokolenia i tych pokoleń następnych, które miały szczęście słyszeć ją i oglądać.

Wśród tych dziesiątków ról pamięć moja zatrzymuje jej Marię Stuart, jak zbiegała ciężka i lekka, wielka i krucha, słaba i silna ze schodów na scenie. Jak największy z aktorów i aktorek była w roli i obok roli. Była sobą i Eichlerówną. Królową i aktorką. Ofiarą i aktorką. To jedna z tajemnic wielkiej sztuki aktorskiej, gdzie jednocześnie następuje dominacja nad rolą i zachowana jest własna obecność i własna postać. We wszystkich tych kobietach, kochankach, władczyniach i męczennicach była zawsze Eichlerówna. Była jednocześnie namiętna, brutalna, wulgarna, a potem nagle rozświetlona uduchowieniem i wielkimi namiętnościami.

Pozostał nam ten wielki cień, cień Eichlerówny. Póki trwa nasza pamięć, pozostanie żywy wśród największych cieni polskiego teatru.

Tadeusz Łomnicki:

Stale obecna

Czas w sposób niecodziennie zabiera nam wspaniałych, wielkich, największych aktorów polskiego teatru. Musimy pogodzić się z myślą, że odeszła od nas na zawsze jedna z najbardziej niezwykłych indywidualności naszej sceny, Irena Eichlerówna: Eichler, Eichlerka. Pani Lena. Wraz z Jej odejściem zamknęła się jakaś karta teatru, który dawno już prze-

stał istnieć – teatru kreacyjnego, posługującego się tragicznymi znakami wielkiego repertuaru, teatru wyrosłego z walki o polską scenę narodową, a ponoszącego wiele kolejnych klęsk w zderzeniu z mialką banalnością treści i formy wiefu okresów naszego ostatniego półwiecza. Taki był czas i plan historyczny, w którym ta wielka aktorka, unoszona legendą ról, jakimi nas obdarzyła, nie mało po 1948 roku wycierpiała, objając się o nędzne decyzje organizatorów życia teatralnego w powojennej Polsce i otaczające ją – mimo wszystko – dyletanctwo.

Cierpienie to było czymś więcej niż i tak dojmujące cierpienie aktorki, której wyobraznia, smak, temperament, wibrująca kobiecość i naprawdę zmysłowa obecność na scenie jawiły się w sposób jedyny i niepowtarzalny. Było to jeszcze cierpienie człowieka, którego świadomość – utkana z ironicznej tęczy spostrzeżeń, śmiechu, wręcz karykatury samej idei teatru – skazywała na samotnienie. Tak wytworzył się ów szczególnie styl mizantropii pierwszej damy polskiego teatru. Pani Lena żyła osobno. Stale obecna, otoczona naszym szacunkiem – ale nie potrzebą dowiedzenia się czegoś o Jej wielkiej tajemnicy tworzenia. Była sobą – a więc nie zawsze można było ją zrozumieć i zaakceptować. Bywała nieznośna – ale jedyna. Inna. Niezwykła.

Miałem kiedyś szczęście widzieć jak pracuje, jak wielkie sobie stawia wymagania, jak silne ma poczucie współobecności innych postaci w sztuce – stawały się one zresztą bardziej może Jej marzeniem niż realnymi aktorami, grającymi z nią w spektaklu, stąd może te Jej stale przymknięte oczy? Jej role były zawsze całymi światami kobiecości, światami wielkich dążeń obu: kreatorki i kreowanej postaci. A głos? Wsłuchując się w ten głos, przyrównywany do „brzęczenia pszczoł”, czuliśmy przecież wstępy, jak nas przywiązuje do siebie, jak w nas zapada na zawsze, nie do zapomnienia, nie do wyrzucenia już nigdy z pamięci. Był to głęboki głos aktorki przez wiele lat poruszającej polską, i nie tylko polską, widownię.

Była aktorką legendarną. Grała w Wilnie, we Lwowie, w Warszawie, Bukareszcie, Paryżu i Rio de Janeiro. W sztukach *Furypidesa*, *Racine'a*, *Victora Hugo*, *Schillera*, *Brechta*, *Czechowa*, *Maxwella Andersona*, *Shawa*. W wielkim repertuarze polskim. Niepokoila, zdumiewała, zachwycała.

W tej smutnej chwili, gdy pani Lena pozostaje już tylko w naszej pamięci, przypomnijmy sobie różne fakty z własnego życia, które – rozproszone – trwają przecież w nas, kojarząc przeszłość z teraźniejszością. To Ona uczyła nas godności. To również Jej wyniosły, nie poddający się żadnej słabości stosunek do szczyrzych odruchów, tak typowych dla urzędniczego dyrygowania kulturą w minionym okresie, utrwalał w nas potrzebę i poczucie postawy niepodległej, odpowiedzialności nie tylko za teatr, sztukę teatru, ale i za nasze życie w tym kraju.

Może właśnie to, co pozostawało dla nas niedostępne, co dzieliło nas na wyznawców i przeciwników genialnej twórczości Ireny Eichlerówny, może właśnie to łączyło nas zawsze i łączy dziś w jej postawie człowieka?

Stefan Treugutt:

Takiej nie było –

Takiej nie będzie

Głos. Głos wielkiego aktora jest dowodem, że mało dbale i marnie posługujemy się darem mowy. Lekceważymy tę szansę. Podobnie jest z zasobami mózgu, bo w najdłuższym życiu wyszukiwanie bywają tylko cząstkowo. Takim ograniczeniem możliwości językoznawcy tłumaczą mnogość języków na ziemi. Ponieważ różne systemy fonologiczne w nader ograniczonym zakresie, a za każdym razem po swojemu, wykorzystują naturalny wolumen głosowej aparatury. My na jednym rejestrze, Chińczyk lub Szwed – na innych. Analogiczny minimalizm panuje z kolei wewnątrz systemu języka narodowego. Głos wielkiego aktora objawi mi, jeśli potrafię słuchać, zaprzepaszczone lub nigdy nie odkryte terytoria własnej mowy. Irena Eichlerówna obdarowana była przegobato. Innym głosem niż my, chociaż to ten sam obszar polszczyzny. Jej śmierć zwięzła nasz język, zubożyła. Gdyby nie trochę zapisów na taśmie dźwiękowej, to by w przyszłości nie dano wiary, że była taka polska intonacja, taka skala wlotu i opadania frazy, że nasz mówiony język potrafił śpiewać. I rymowany, i w byle prozaicznym tekście także. Cóż ona potrafiła zrobić z tą mową o sztywnym, stałym akcencie, mało przecież z natury melodyjną, szorstką... To był inny język, jej język. O innym nawet, jeśli godzi

ciąg dalszy na str. 6

Eichlerówna – pożegnanie

dokończenie ze str. 5

się tak powiedzieć, systemie interpunkcji, bo Eichlerówna mówiła nie wedle poprawnościowych nawyków, nie w myśli ułożonym gotowym zdaniem (jakże to czasem denerwowało pedantów!), żywioł mowy stawał się u niej samodzielną nieoczekiwaną kreacją. Tak jak u wielkich śpiewaczek. (Zawsze jej monumentalność kojarzyła mi się z posturą sławnych śpiewaczek. Także przy prywatnej, przypadkowej rozmowie.) Jakże o kimś takim pisać, że „odtworzyła” rolę, że to jeszcze jedna Maria Stuart czy kolejna pani Warren...

Przypomnienie tych akurat ról, w *Marii Stuart* Schillera i w *Profesji pani Warren* Shawa jest jakoś istotne – a role to kontrastowo odmiennie. Eichlerówna była w obu wypadkach tylko sobą, doskonale sobą i nikogo nie „odtworzyła” – a przecież były to dwie całkiem różne kobiety, dwa różne sposoby szafowania życiem!

Krąży w teatrze anegdota wręcz legendowa, jak to się z nią trudno pracowało reżyserom, jak się często bali jej nieposkromionej siły. Pewnie, z osobowością tak niepodległą, samowolnie samobytą nie pracuje się łatwo – ktoś taki nie potrafi być figurą na szachownicy. Dużym przeżyciem, gdy illo tempore pracowałem w Teatrze Polskim, były dla mnie próby *Jowialskiego* w reżyserii samego Jerzego Kreczmarę. W roli Szambelanowej, czyli jako niegdys żona śp. generała-majora Tuza, wystąpiła Eichlerówna. Trudno tę postać nazwać wiodącą w sztuce – Eichlerówna przecież jakby nadała szczególną tonację i rytm całości. Bez niej, sądzę, Czesław Wollejko nie zagrałby wtedy tak brawurowo. I jakoś się to z koncepcją reżysera nie skłóciło. Wiedział z kim pracuje, potrafił na tym wygrać.

Kim była? Wielką tragiczką, mówią. Oczywiście. Maria Tudor na scenie Narodowego 30 lat temu. Słyszę i widzę teraz. Ale co w takim razie zrobić z aż wulgarnie zachwycającą generałową-majorową Tuz? Klasyfikacja, nawet słuszna, źle pasuje do żywiołu. Kim była? Eichlerówną. Takiej już nie będzie.

Andrzej Łapicki: Mówiła prawdę

Lekko skośne, zielone oczy i głos o nie-spotykanej skali, który w zadziwiających kadencjach uwodził widza. Królewska postać i, największa aktorska zaleta, komediowa naiwność. Nie jest łatwo opisać wielką aktorkę, a już na pewno niemożliwe jest opisanie aktorki największej, największej od czasów Modrzejewskiej. Na czym polegała Jej wielkość?

Louis Jouvet mówił, że dobry aktor to ten, któremu można otworzyć nieznaną egzemplarz na nieznaną stronę i on tę nieznaną postać à vista zagra. Instykt. Ten miała w stopniu najwyższym, ale był to instykt wzbogacony o niezwykłą inteligencję aktorską. Ona po prostu wiedziała. Wiedziała jak wejść, wiedziała, gdzie położyć akcent, wiedziała jak stanąć, wiedziała, czym widza zadziwić. Bo była aktorką przede wszystkim niekonwencjonalną.

Uznana od razu przez wielkich swojej epoki – przez Osterwę, Jaracza, Węgrzynę, Junoszę – dopuszczona przez nich do wspólnego uczestnictwa na scenie, co było niezmiernie rzadkie, zadziwiła teatr swą niezwykłością. Była inna. Była inna w konwencjonalnym przedstawieniu *Balladyny* o piorunującej obsadzie z Solskim i Węgrzynem. Była niezwykła w takiej sobie sztuce *Szaleństwo* Peyret-Chappuis. Tylko Ją pamiętam z *Madame Sans Gène*, choć Napoleona grał Junosza-Stępowski. Szukała zawsze rozwiązań niezwykłych. Wielkiego aktora zapamiętuje się z tych sekund, kiedy błyska geniuszem. Westchnienie: „Ach, Liesel, Liesel...” w *Niemcach*, wytarcie nosa w tragicznej *Marii Tudor* – chwile kiedy aktor przechodzi do historii, kiedy odsłania nam jakąś tajemnicę.

Była niezwykle wymagająca w stosunku do wszystkiego – do partnerów, do kostiumu, do dyrekcji, do reżysera, do teatru. A przede wszystkim do siebie. Nie znosiła przeciętności; bylejakości. Tęskniła do teatru wielkiego, szlachetnego, z a w o d o w e g o, teatru jej młodości. Stąd legendy o Jej trudnym charakterze.

Była trudna dla miernoty, której tyle w naszych przeciętnych czasach. Choć wielu w teatrze się jej bało, bo mówiła prawdę w oczy, była najmilszym kompanem, o niezwykłym poczuciu humoru. Towarzyską osobą, ceniącą niezwykle kameralne bankietki, na których zaśmiewała się swym perlistym śmiechem.

Na scenie zmuszała do prawdy. Partner musiał być prawdziwy, kiedy spojrzała w niego swymi przepastnymi oczami. Wymuszała prawdę. I jeszcze jedno – była niezwykle kobieca. Aktorki nawet znakomite, zajęte sobą, często tracą tę cechę. Ona była kobietą do ostatnich swoich dni. Pobyt na scenie z Nią dawał więcej niż cztery lata szkoły razem z dyplomem. Zarażała swą wszechwiedzą aktorską. Bo wiedziała i umiała wszystko. Była ostatnią z tej epoki, której korzenie sięgają Rozmaitości – teatru gwiazd. Teatru królów sceny – Żółkowskiego, Rapackiego, Królikowskiego i Modrzejewskiej. Była królową. Irena Eichlerówna. Lena.

Józef Hen: Spojrzenie Gabrieli

Na początku były opowieści. Moje siostry skandowały Jej nazwisko z nabożeństwem: „Eichlerówna!” Nie chodziłem jeszcze wtedy do teatru. Ale czytywałem recenzje, wypożyczałem tomy Boya. Wiedziałem więc, że *Fräulein Doktor* (Tepy), że *Zamach* (Somina) i ona w duecie z Jaraczem – równa mu. Charakterystyczna uwaga Boya-Zełęskiego: „Otóż jedynym zarzutem, jaki można by zrobić ślicznej grze p. Eichlerówny, byłoby to, że ona dała niejako za dużą klasę swojej Izie; mimo woli przez rodzaj swojego talentu dała jej pogłębienie duchowe, trudne do pogodzenia z czynami tego nieodpowiedzialnego stworzenia”. I dalej: „Publiczność przyjmowała Jaracza i Eichlerównę owacyjnie”.

Ten *Zamach* (chyba sobie tego nie wymyśliłem?) miałem okazję słyszeć przez radio. I znowu tych dwoje: Jaracz i Eichlerówna, dramat sączący się poprzez głosy: jego, chropawy, zduszony, i Jej – dzwiczny, śpiewny, przenikający do głębi.

Więc była legendą. Zobaczyłem Ją na scenie po raz pierwszy już po wojnie w *Lekomyślniej siostrze* Perzyskiego. Była urzekająca. Człowiek patrzył, słuchał z zachwytem i bólem, tyle w tej postaci było ludzkich, autentycznych drgań, tak głęboko odczuty los ludzki. Niezadługo po tym podziwiałem Jej wirtuozerię w krótko odmiennej roli, w *Teatrze Klary* Gazul Prospera Merimée.

W parę dziesiątków lat później, kiedy już poznałem panią Lenę, wspominałem w rozmowie z Nią o tych dwóch rolach. Rozpromieniała się. Lubiła te role, lubiła pamiętać o sobie z czasów, kiedy była młoda, nie tylko świetna, ale rozczarująca kobiety czar.

Wiedziała o sobie, jak przypuszczam,

że jest wielką aktorką, ale nie miała nic z gwiazdy. To znaczy, nie miała w życiu, poza teatrem – w samym teatrze mogło być, i podobno było, inaczej. Kiedy czasem przychodziła do stołówki literatów na obiad, kiedy rozlegał się szmer „Eichlerówna idzie”, wierzyc się nie chciało, że to Ona, ta kobieta w byle jakim palcie i bez makijażu, która zaraz potem będzie w naszej stołówkowej suterenie, pochylona nad talerzem, jadła pyzy czy ruskie, Ona, wielka Eichlerówna, odtwórczyni najbardziej tragicznych postaci wielkiego repertuaru. Mimo to, pamiętam, budziła respekt, nikt nie ośmielił się z Nią spoufalać. Zupełnie jakby to palto to był jeszcze jeden kostium, a brak szminki był właśnie szminką – to Matka Courage siorbię naszą stołówkową kartoflanek – ale za chwilę kaprys minie i ujawni się Fedra, Agrypina czy Maria Stuart.

Poznałem panią Lenę w małym M-2 u pani Julitty, do której mieli zwyczaj wpadać zaprzyjaźnieni z nią aktorzy. Kto to jest pani Julitta? To postać: pełna uroku pół-warszawianka, pół-nowojorcanka, i właśnie to jej gniazdo nowojorskie przez długie lata bywało przelotną przystanią dla wędrujących polskich aktorów. Otóż dla pani Julitty podczas jej żurków najważniejsza była Eichlerówna. Żywiła dla Niej prawdziwy kult. Obserwowałem, z jaką czułością dbała o to, by pani Lena dobrze się w gromadzie czuła, by niczego Jej nie zabrakło. Ja zaś, często obok pani Leny posadzony, nie umiałem się uwolnić od całkiem chłopięcego ośmielenia. I naiwnego zdziwienia. Wydawało mi się czymś niezwykłym, że wielka Eichlerówna tak sobie po prostu z mną rozmawia, na przykład o Montaigne’u, albo o jakimś wywiadzie telewizyjnym, że jest taka bezpośrednia, wcale nie milkliwa, że nie narzęca (choć miała prawo – Ona, wielka aktorka niemal bez ról), że reaguje na każdy sarkazm, każdy dowcip, że tak łatwo i głośno się śmieje, i wcale nie peszy Jej to, że ze ściany spogląda na nią z plakatu – lekko przy tym zezując – kto? – ależ Eichlerówna, z *Tej Gabrieli* – najwyraźniej ironiczna.

O tym ironicznym, przenikliwym, wszechwiedzącym spojrzeniu Eichlerówny-kobiety czasem się zapomina. Kiedy się o Niej mówi, jakoś od razu każdemu przychodzi na myśl role tragiczne, tymczasem pani Lena czuła się znakomicie w zjadliwej komedii, wspomnijmy choćby, z jaką przyjemnością grała Shawa. Właśnie w komedii, czy także w komedii, umiała sięgnąć do najbardziej utajonych przeżyć postaci, wydobyć najcenniejszą ironię i zarażać ludzką prawdę, tak często ukrytą pod dezynwolturą słów.

Wiemy dzisiaj, że Irena Eichlerówna nie zagrała wielu ról, które mogła i powinna była zagrać. To, co stworzyła, przeszło jednak do historii-teatru i na szczęście zostało udokumentowane w monografii Augusta Grodzickiego. Ale trzeba sobie powiedzieć, że zostawiła po sobie nie tylko role. Zostawiła legendę. Godną największych.



Eichlerówna z ks. Kazimierzem Orzechowskim na audyencji u Prymasa Wyszyńskiego (1977).